

BYŁA Z NAMI NA ZESŁANIU -

MATKA BOSKA KOCHAWINSKA

Pracowałem jako księgowy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Żydaczowie.

Mieszkałem we wsi Kornelówka z mamą i siostrą Julią. Mama miała gospodarstwo rolne siedem hektarów ziemi.

W pracy poznałem przyszłą swoją żonę Olę. Wzięliśmy ślub, ale mieszkaliśmy jeszcze oddzielnie. Żona mieszkała u swoich rodziców w Żydaczowie.

W pracy byłem przez cały tydzień. Na niedzielę jechałem do żony lub rodzinnego domu w Kornelówce. Mama chorowała na serce.

Przed deportacją wieczorem do domu rodzinnego przyszedł pracownik NKWD. Rozmawiał ze mną, znaleźliśmy się z widzenia. Pytał mnie czy będę nocował w domu.

A rano 20 VI 1950r. o godz. 5-tej rano ostre pukanie do drzwi. Wstałem otworzyć. Weszło dwóch z NKWD. Rozkazali ubrać się. Sprawdzili nazwiska na liście. Odczytali pismo, że jesteśmy "kułakami" i dlatego nas wysiedlają.

Kazali ubrać się w ciągu jednej godziny i wychodzić z domu. Mama chora na serce zasłabła. Podałem jej leki.

Siostra Julia wzięła pościel i w niej ukryła:

obraz MATKI BOSKIEJ KOCHAWINSKIEJ

Wzięła ubranie, pieniądze, bańkę miodu. Zabronili brać mąkę i zboże, a żywności tylko na kilka dni.

Ja zabiłem cztery kury. Pomagała mi w tym sąsiadka Ukrainka.

Wyszliśmy z naszego domu:

Anna	Krzyż	ur? 1882	matka
Julia	"	1921	córka Anny
Edmund	"	1912	syn Anny
Olga	"	1924r	żona Edmunda, autorka wspomnień zabrana z Żydaczowa.

Przed domem stał samochód ciężarowy. Wsiedliśmy wszyscy.

Ja zapytałem NKWD-zisty co będzie z moją żoną? W odpowiedzi usłyszałem: "Ona już na pana czeka".

Po drodze z sąsiedniej wioski zabrali jeszcze dwie ukraińskie rodziny z dziećmi.

Zawieźli nas wszystkich do NKWD w Żydaczowie. Dotrzymali słowa. Moja żona już tam była.

Odebrali nam dowody osobiste.

Wspomina p. Olga Krzyż ur.29 XI 1924r

"Razem w nieznane"

Mnie zabrali z domu rodzinnego w Żydaczowie i przywieźli do NKWD w Żydaczowie. Powiedzieli mi, że mam czekać na męża.

Gdy przyjechał samochód, w którym był mąż - mnie zaprowadzili do tej ciężarówki. Pojechaliśmy razem do Borysławia.

Umieścili nas w dużym budynku. My spaliśmy na dolnych pryczach. Nad nami rodzina z dziećmi. Nie jeden raz rano byłem zlane ich moczem. W nocy gryzły pluskwy.

Raz dziennie otrzymywaliśmy porcję czarnego chleba i chochlę zupy. Czasem kawałek ryby tak słonej, że nie można było jeść. Niedopieczony chleb kroiliśmy na cienkie kromki i suszyliśmy na słońcu. Wiedzieliśmy już co nas czeka.

Kury, które mąż wziął z domu, zabrali nam niby do kuchni do ogólnej zupy. Nieprawda. W zupie nie było mięsa z kury.

My mieliśmy kuzynkę w Borysławiu. Przynosiła nam dwa razy w tygodniu coś do jedzenia, w zależności od tego co sama miała w domu. Spotykaliśmy się z nią w obecności strażnika w portierni. Mogliśmy też chwilę rozmawiać.

Co dzień rano wyprowadzali nas z budynku na podwórko, wyczytywali nazwiska, sprawdzali czy wszyscy jesteśmy.

Ludzi ciągle dowozili i wywozili.

W sierpniu po siedmiu tygodniach ^{pobytu} tutaj zakładowali nas do samochodów ciężarowych i zawieźli do stacji w Borysławiu.

Kompletowali listę na literę "K". Było nas 52-ie osoby. Polacy i Ukraińcy.

Umieścili nas w wagonach towarowych, bez okien. Pryczy nie starczyło dla wszystkich. Kilka osób spało na podłodze na swoich rzeczach. Ubikację - dziurę w podłodze zrobiliśmy sami.

W wagonie naszym była Ukrainka zabrana z dzieckiem z porodówki. Matka miała mało pokarmu. Dziecko w pierwszych dniach płakało, a później słychać było nie płacz, a słaby dźwięk jak miauczenie kota.

Przeważnie nocą przynosili nam do wagonu gorącą wodę i po kawałku chleba. Czasem była to rzadka zupa. Zdarzało się, że zupy nie starczyło dla wszystkich.

Garnuszki, miski, łyżki każdy miał z domu.

W czasie podróży gryzły nas wszy. Dali nam nawet jakiś biały proszek, ale niewiele to pomogło. Po kilku dniach wszy gryzły nas nadal.

Po pięciu tygodniach dojechaliśmy do Krasnojarska. Ci którzy mieli siłę poszli się kąpać.

Następnie zawieźli nas na przystan i statkiem po rzece Jenisej płynęliśmy dwa dni i dwie noce.

Wysadzili nas na polanie. Żadnych budynków, ani ludzi nie było. Kto miał pierzynę, to ułożył się do spania na tej polanie. Ci którzy nic nie mieli, siedzieli przy ognisku. Już kończył się wrzesień, tutaj o tej porze są przymrozki.

Wodę z rzeki Jenisej gotowaliśmy na ognisku, zalewaliśmy nią pędy malin. Chleb suszony w Borysławiu opiekaliśmy na patkach nad ogniskiem. Nikt się nami teraz nie interesował.

Ukrainka z dzieckiem też była z nami. Daliśmy jej przecieradła na pieluszki. Pieluszki płukała w rzece Jenisej, a suszyła na słońcu lub przy ognisku.

Wreszcie przyjechało kilkanaście sań. Do sań wsiedli starsi ludzie i małe dzieci. Włożyliśmy do sań również nasze rzeczy. My - szliśmy obok sań.

Konie, które ciągnęły sanie były chude, słabe. Trzeba było robić częste postoje. Podróż ta trwała dwa dni. W nocy spaliś-

my w kopach siana.

Dojechaliśmy do kołchozu /nazwy nie pamiętam/. Umieścili nas w świetlicy. Nam dostało się miejsce na scenie.

Następnego dnia poszliśmy do pracy. Ja kopałam ziemniaki. Mąż przesypywał zboże, by się nie zaparzyło. Pracowaliśmy od rana do zmroku. W południe na polu dali nam gorącą wodę i małą porcję gotowanych suchych ziemniaków.

Julia nie pracowała, opiekowała się chorą matką. Dzieliliśmy się z nimi naszymi posiłkami. Julia sprzedawała miejscowej ludności bieliznę i w ten sposób utrzymywały się przy życiu. Za bieliznę dostawała mleko, ^{jajka} jaka, chleb.

Ludność miejscowa była początkowo w stosunku do nas nie ufna, ale później byli nam nawet przychylni.

Po kilku dniach ciężarówkami zawieźli nas do miejscowości Kiczybas, nad rzekę Sisim i umieścili w baraku, po dziesięć osób. My byliśmy z Ukraincami. Pomieszczenie bardzo małe. Jak spaliśmy na podłodze, to dotykaliśmy się wzajemnie nogami. Było tak zimno, że woda w wiadrze zamarzała w tym pomieszczeniu.

Po dwóch dniach, wszyscy zdolni do pracy, zostaliśmy przydzieleni do robót w lesie, w miejscowości Tatarka. Siostra z matką pozostały w miejscowości Kiczybas.

Z Kiczybas do Tatarki szliśmy cały dzień wzdłuż rzeki Sisim. Zamieszkaliśmy tam w baraku w którym było 52-ie osoby. Litwini i Polacy z Litwy.

Spaliśmy tutaj na pryzach. W piecyku paliło się w nocy, w dzień wszyscy byli w pracy.

Rano przydzielili nam piłę, siekiere i wyznaczono nam normę jaką trzeba wykonać. Podzielono nas na brygady.

Dostaliśmy z mężem jeden kilogram chleba. Rozgrzaliśmy go na ognisku i to był nasz posiłek. Wodę do picia braliśmy z potoku.

Nie mieliśmy ciepłych ubrań. Dali nam tylko kufajki i walonki. Spodnie szyłyśmy sobie same z koców, jeśli ktoś je miał. Przemoczone ubrania suszyliśmy tylko przez noc. Tyle ubrań w baraku nie można było wysuszyć. Szliśmy więc w tych wilgotnych

do pracy w lesie.

Przeważnie w nocy wzywali nas przedstawiciele NKWD na rozmowę, bo nie wyrabiamy normy. Nie mieliśmy siły. Ja nigdy takiej pracy nie wykonywałam. Od wykonanej normy uzależniony był przydział chleba.

W grudniu listonosz zawiadomił nas, że matka jest umierająca.

Poszliśmy z mężem 20 kilometrów do Kiczybas.

Jak przyszliśmy matka jeszcze żyła, ale nas nie poznała.

Zmarła 12 XII 1950r.

W stolarni pracowali Litwini. Mąż poprosił ich aby zrobili skrzynię, za co im zapłacił.

Pochowaliśmy matkę na pagórku w lesie, gdzie było dużo brzoźowych krzyży bez napisu. Na pogrzebie byli Litwini i Ukraińcy.

Następnego dnia siostra Julia poszła z nami do Miejscowości Tatarka. Nasza brygada powiększyła się o jedną osobę.

/1951 Na wiosnę przydzielono nam kwatery w baraku, gdzie mieszkały dwie rodziny radzieckie. Żyliśmy z nimi w zgodzie.

W baraku mieliśmy żelazny piecyk. Mogliśmy sobie gotować.

Siostra Julia nad pryczą powiesiła obraz Matki Boskiej Kochawiańskiej i tak już mieliśmy ten obraz w każdym baraku.

W listopadzie 1951r przeniesáli nas do miejscowości Die-
nieżna. Spotkaliśmy tam Polaków z Wilna o nazwisku Piłsudski.
Małżeństwo z dwoma córkami.

Nam zaproponowali pracę w biurze. Mąż obliczał zarobki, a ja zajmowałam się statystyką. Tylko Julia jeszcze pracowała w lesie.

Dostaliśmy oddzielne mieszkanie. Mieszkaliśmy tylko z siostrą. Zarobki były nieco większe. W sklepie można było kupić mąkę, cukier, olej.

W lutym 1952r urodziłam syna w baraku w miejscowości Die-
nieżna.

Przy porodzie był lekarz, który w tym czasie przyjechał z kołchoźnikami na wyrąb lasu.

Litwinka ochrzciła synka / z wody/ dała imię Julian. Siostra Julia przestała pracować w lesie. Opiekowała się synkiem, a ja poszłam do pracy w biurze.

Pieluszki dla dziecka robiłam z prześcieradeł zabranych z domu. W sklepie była czerwona flanela. Kupiłam i z tej czerwonej flaneli uszyłam dziecku koszulki. Syna karmiłam piersią do dziewięciu miesięcy.

Syn miał już jeden rok jak zachorował na zapalenie płuc. W ośrodku zdrowia felczer powiedział, że ma tylko jeden zastrzyk penicyliny. Zrobił ten zastrzyk. Po kilku dniach dziecko było zdrowe. Syn miał krzywicę, ale na to nie było tutaj leku.

Na wiosnę 1952r wykarczowaliśmy sobie koło baraku pnie. W wiosce u miejscowej ludności kupiliśmy ziemniaki. Nieśliśmy je na plecach. Posadziliśmy koło baraku poletko ziemniaków.

Za pierścionek, poduszkę i pierzynę kupiliśmy u kołchoźników krowę. Wcześniej mąż wybudował stajnię. W lecie gromadziliśmy sieno dla krowy.

Co rok przenosili nas do innych osiedli. Uzależnione to było od wyrębu lasu.

Wszędzie, gdzie zamieszkaliśmy, zaraz koło swojego baraku karczowaliśmy pnie. Sadziliśmy ziemniaki, ogórki, a nawet pomidory. Te nigdy nie dojrzewały. We wrześniu były już przymrozki.

Polacy, którzy tutaj mieszkali, takie działki mieli.

Raz w miesiącu przyjeżdżał dzielnicowy do nas, aby ~~przeglądać~~ sprawdzić naszą obecność. Tak było przez cały pobyt na Sybirze.

W 1954r przeniesiono nas do Łaboźna. Mieszkaliśmy w jednej izbie w czwórce.

Przy baraku zrobiliśmy sobie znów działkę. Mieliśmy krowę, a nawet kury.

W dniu 9 V 1955r. urodziłam syna. Przy porodzie była miejscowa kobieta.

Pieluszki mogłam już tutaj kupić w sklepie.

Światło w baraku też mieliśmy. Do wyłobionego ziemniaka wlewało się oliwę, wkładało kawałek sznurka.

Nawiązałam kontakt listowny z bratem, który mieszkał w Bielsku Białej. Na podstawie jego prośby pisanej do Moskwy pozwolono nam wyjechać do Polski.

Okres starań trwał od stycznia 1956r a w październiku 1956r byliśmy już w Polsce z rodziną.

Następnego dnia poszliśmy z dziećmi do lekarza. Mieli krzywicę, oraz zaniżoną wagę i wzrost w stosunku do ich rówieśników.

Za zgodność - - - - -

Olga Krzyż
Olga Krzyż
58-125 Pszenno 117/3

Edmund Krzyż
- - - - -

Edmund Krzyż
58-125/Pszenno 117/3

Pszenno dnia 23 IV 1990r

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska